

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

Katowice, niedziela, dnia 15 listopada 1925

Dziecko a socjalizm.

Napisał Max Winter, poseł do parlamentu austriackiego i przewodniczący Socjalistycznej Międzynarodówki Wychowania Dziecka.

Pamięci mojej matki.

Komu było dane wglądać głębiej w istotę dziecka, temu też wyda się pilnym zadaniem, aby raz wreszcie poddać pod gruntowną rozwałę stosunek socjalizmu do dziecka. Do dziecka powiadam i nie ograniczam się bynajmniej do dziecka proletariackiego. My dorośli popełniamy tak wiele grzechów względem dziecka, a z drugiej strony tak mało bierzemy dziecko w obronę przeciw grzechom całej społeczności ludzkiej, że już z tego powodu rozprawa na temat „Dziecko a socjalizm” będzie pożyteczną i to tak, co się tyczy socjalizmu jako pewnego zjawiska gospodarczego i politycznego, jako też — i to jeszcze bardziej — socjalizmu jako zjawiska obyczajowego i ruchu kulturalnego, wciągającego w swój rydwan coraz to szersze warstwy, dopóki wreszcie nie zdołabędzie wszystkich cywilizowanych ludzi. Ten podobój musi się jednak zaczynać od dziecka i to tem bardziej, im straszliwsze grzechy popełnia wobec dziecka barbarzyńska „kultura” kapitalistyczna głównie przez organy swej wiernej służki, kościoła wszystkich wyznań. Wszech wyzwalaający socjalizm jest powołany do tego, aby także dziecko wyswobodzić z jarzma wielu tysięcy lat, ciężącego na niem i na działaniem przez innych wprowadzeniu dziecka w rygor życia, co potem otrzymuje nazwę wychowania.

Mamy przewędrować teren bardzo rozległy. Najpierw należy całkowicie, bez przesądów stwierdzić stan obecny. Potem trzeba wyznaczyć cel, a wreszcie wyszukać drogę, którą idąc, dziecko może być wyzwolone z tego stanu rzeczy, w jakim je dziś spotykamy. Co się tyczy stanu dziecka w dniu dzisiejszym nie łatwo ogarnąć to pole. Ileż to grzechów popełnia się przeciw dziecku jeszcze gdy jest w łonie matki, a ile jeszcze przedtem. Para morderców, syfilis i alkoholizm, jakże często wciąga na swoją służbę swych bezwolnych poddanych już przy płodzeniu dziecka! Ile winy ponosi nierozsądna wstydlivość młodych matek, które zaciskają korset, aby ukryć swoje macierzyństwo, zamiast nosić je swobodnie i z dumą? Ile winy ponoszą tu szczególnie „niezamężne” matki, które ze względów socjalnych i rodzinnych nieraz do ostatniej chwili ukrywają swoje macierzyństwo? W Austrii dopiero w czasach najwyższej wojennej niedoli i największego spadku liczby urodzin pomyślano o tem, aby niezamężnej matce dać ochronę przynajmniej pod względem towarzyskim, tytułując ją przez „Pani”. Jakie przestępstwa popełniamy przez to, że pozwalamy większości młodych matek zacho-

dzić w ciążę i zostać matką bez uświadomienia, bez żadnego przygotowania, a większość z nich jest przy tem obarczona najrozmaitszymi ślepiemi przesądami, przekazanymi tradycją po prababkach — przesądów tych nie da się wykorzenieć! Szkoła nie daje im nic na drogę, a życie w zasadzie nie prócz kilku z dobrego serca pochodzących rad matczynnych i do tego wątpliwej wartości rad przyjaciółek o równym wieku i równym braku doświadczenia.

Lecz wszystkie te źródła niebezpieczeństw są stosunkowo małe w porównaniu z jednym wielkim: jak ciężki grzech popełnia społeczeństwo już na kielkującym życiu przez to, że dziecko w łonie matki musi też nosić te warunki socjalne, w jakich żyje jego matka. Dziecko proletariackie już w łonie matki skazane jest na szczupłą rację odżywczą, często na tak szczupłą, że ledwie ma siły do życia, kiedy opuszcza ciało matki. Przytacza na ten temat Rille (w książce: Dziecko proletariackie) trafnie dobrane przykłady, pochodzące co prawda z czasów pokoju, kiedy proletarijat przechodził dopiero wstępną szkołę głodu. Mógł wtedy stwierdzić pewien lekarz drezneński w ciągu jednorocznej obserwacji, że robotnik i jego żona razem zużywają na swoje odżywianie tyle białka i tłuszczu, ile on sam dla siebie jednego. Wyspekulowała też „wiedza” patriotyczna i gotowa do szczególnych ustępstw w czasie wojny, że dla kobiety wystarczają do odżywiania 2000 jednostek ciepła, podczas gdy mężczyzna musi dostać 3000 lub więcej. Przy takich założeniach powstaje nierówny stosunek, który jest tem większy, jeśli taka żona robotnika lub taka robotnica nosi jeszcze płód pod swem sercem.

Płód ten narażony jest też na inne jeszcze niebezpieczeństwa. Pomyślmy naprzykład nad tem, jak mało może się oszczędzać taka ciężarna służąca domowa, jak nieraz do ostatniej chwili musi usługiwać innym. Do końca życia nie zapomnę, co przeżyłem, jako 14-letni chłopiec w jednym z tych domów mieszkalnych w Wiedniu, w których przez okna od podwórza można widzieć, co się dzieje w przeciwniejszych mieszkaniach. Mieszkaliśmy podówczas na drugim piętrze: naprzeciw nas na pierwszym piętrze mieszkała rodzina, która była na językach całego domu, gdyż i pani domu i służąca były u końca ciąży. Pewnego dnia nadeszło, co miało nadejść. O godzinie 6 rano nastąpił połów. Służąca usługiwała jeszcze swej pani, kiedy naraz ją samą napadły boleści i w godzinę później sama też została matką. Ale już w cztery godziny potem służąca stała u dzierży i prła pieluszkę dla obu dzieci. Od tego czasu minęło jakieś czterdzieści lat lecz los służącej domowej*) niewiele

*) W oryginale niemieckim: pomocnicy domowej. W przekładzie musieliśmy użyć powszechnie używanego określenia: „służąca”, gdyż gdybyśmy napisali „pomocnica domowa”, nie wiedzielibyśmy niestety, o kim mowa.

jest lepszy, gdy zostaje matką. Los służącej i robotniczy.

Wiele tysięcy tych kobiet nie pozostawia sobie nawet czasu na wyzdrowienie po rozwiązaniu, ku bardzo wielkiej szkodzi własnej i swych dzieci, od których same tygodniami nie chcą się oddalać jako matki, aby potem — jakże często — w razie dłuższej słabości z konieczności całkowicie zrezygnować z pełnienia obowiązków macierzyńskich. Inne znowu matki-proletariuszki zagrażają płodowi swemu przez rodzaj pracy, którą muszą pełnić. Można by tu mówić zarazem o „ryzyku robotniczym” embrjona, może raczej o ryzyku klasowym. Matki w fabrykach chemicznych, które mają tam do czynienia z wyziewami ołowiu, wydają na świat martwe dzieci znacznie częściej (trzecią część wszystkich dzieci) niż ich towarzyszki doli pracujące w fabrykach mniej groźnych dla zdrowia.

Przyjrzyjmy się z taką samą przedmiotowością (obiektywnością) życia niemowlęcia, dziecka raczkującego, małego dziecka, dziecka uczęszczającego do szkoły — a wszędzie napotkamy na błędy, przesady, niedbalstwo, zabobony, braki socjalne i zło społeczne, głęboko zakorzenione w kapitalistycznym ustroju gospodarczym. Zjawiska te uderzą nas w takiej masie, że wprost musi się popaść w zwątpienie, czy da się to zmienić — tak wielkie jest to zadanie. Wszyscy popełniają grzechy wobec naszego potomstwa: Matki i ojcowie, lekarze i akuszerki, nauczyciele, zarządy gminne, konstruktorowie mieszkań, budowniczowie miast, władze zdrowotne gmin, powiaty i państwa, popełnia grzechy poddane kapitalizmowi społeczeństwo jako całość. Dziecko nie jest jego pierwszą, jest zaś bardzo często jego ostatnią troską. Wszyscy atoli w ten sposób grzeszą także wobec naszej przyszłości.

Wyłoni się przed nami wiele pytań, domagających się odpowiedzi. Będziemy musieli zająć się pod względem zdrowotnym i wychowawczym grzechami szkoły i grzechami domu; czy i kiedy ma się karać dzieci, czy przezywać je i bić czy też karać w inny sposób. Będziemy musieli uświadomić sobie stosunek dziecka do pracy, dziecka do ulicy, dziecka do placu zabaw, dziecka do zabawy, dziecka do przyrody, dziecka do sztuki, dziecka do sportu, dziecka do podróży, dziecka do techniki, dziecka do uświadamiania płciowego, dziecka do polityki stosunek dziecka do różnych jeszcze innych rzeczy. Będziemy musieli zadać sobie pytanie, czy lepiej dziecko chować w rodzinie czy w zakładzie wychowawczym, albo też czy należy szukać nowych form. Przytem głęboko wglądnijmy w obecny stan zakładów wychowawczych; będziemy musieli zająć się dzieckiem na wsi i to przy pomocy społecznych środków pomocniczych, które ma tam do dyspozycji w wychowywaniu swych dzieci nawet zamożna rodzina tylko w szczupłej mierze. A potem wyznaczmy sobie cel. Może nim być tylko: wyzwolenie dziecka od tysiącznych więzów, którymi spętało je pochodzenie, błąd, niezrozumienie i wyzysk kapitalistyczny.

Jak osiągniemy ten cel? Oto ostatnie pytanie, wymagające odpowiedzi. Drogowskazem będzie nam socjalizm. Pójdziemy właściwą drogą, jeśli w walce o wyzwolenie dziecka zastosujemy zewnętrznie te same metody, które przyswoił sobie socjalizm w wyzwolaniu klasy robotniczej z jarzma kapitalistycznego ustroju gospodarczego. To znaczy, musimy anarchii (bełtadowi) w trosce o naszą przyszłość przeciwstawić organizację, zorganizowany rozsądek, zorganizowanych rodziców, zorganizowane społeczeństwo, które — jeśli kieruje nim trafny instynkt socjalny — nie może mieć większej troski od troski o to: kto będzie jutro w dalszym ciągu budował dzieło stawiania się ludźmi tych, którzy dziś już zwą się ludźmi? Jak mamy ich wyposażyć, jak mamy ich uzbroić na ciele i duchu,

aby mogli dokonać olbrzymiego dzieła? Problem wychowania masowego stoi przed nami i stanowczo domaga się odpowiedzi. Żaden ustrój gospodarczy, żadna jeszcze epoka nie potrzebowała stawiać przed sobą tego problemu. Epoka socjalizmu, do której zbliżamy się olbrzymimi krokami, musi postawić przed sobą ten problem i znajdzie też odpowiedź na niego. Jak wszystko w świecie a szczególnie w świecie świadomości socjalizmu, nie znajdzie tej odpowiedzi jednostka. Jednostka może tylko podjąć zapytanie i może mniej lub więcej kompletnie nam i naszym współczesnym odtworzyć zbiorowe doświadczenie nas wszystkich zebrane aż po nasze czasy, może wypowiedzieć swój sąd w tej sprawie — ale odpowiedź na tysiąc otwartych kwestyj znajdzie tylko społeczność.

Wszyscy, których to obchodzi, to znaczy wszyscy, powołani są do współpracy w tem dziele.

Po 20-tu latach.

Dnia 30 października b. r. upłynęło dwadzieścia lat od pamiętnej w dziejach Rosji oraz związanego z nią b. zaboru rosyjskiego, daty 30 października 1905 r., kiedy to pod naporem ruchu rewolucyjnego, oraz powszechnego strajku, który ogarnął całe imperjum rosyjskie, krwawy Mikołaj II zgodził się na podpisanie „Konstytucji”.

Polska Partja Socjalistyczna w porozumieniu z rosyjskimi partjami rewolucyjnymi proklamowała strajk, który rozpoczął się już w połowie października. Zatrzymany został całkowicie ruch kolejowy, pocztowy i telegraficzny. Stały wszystkie fabryki. W Warszawie ustał wszelki ruch kołowy. Sklepy i fabryki były pozamykane. Teatry i widowiska zawieszono. Pisma nie wychodziły.

Wiadomość o szukańczym manifestie krwawego cara przyszła do Warszawy we wtorek dnia 31 października i nikogo w błąd nie wprowadziła. Jeden tylko publicysta, p. Władysław Rabski był w nastroju entuzjastycznym i żegnając się z cenzorem, zawołał do niego rozczulony: „bonne nuit, citoyens!” (Dobranoc, obywatele),

Sceptyzm, z jakim przyjęto w całym kraju mikołajewską Konstytucję, już nazajutrz okazał się najzupełniej usprawiedliwiony.

Kiedy bowiem dnia 1-go listopada 1905 roku nieprzeliczone tłumy robotników, inteligencji i młodzieży zaległy wieczorem plac Teatralny, żądając zwolnienia skazańców politycznych, z pobliskich koszar przy ul. Bielańskiej wypadł szwadron kozaków, który siekąc szablami i tratując końmi wpadł na kilkudziesięciotysięczny tłum.

Padli zabici i ranni...

Taki był pierwszy dzień carskiej Konstytucji...

Dwadzieścia tylko lat temu — a wydaje się krwawym snem z jakże dalekiej przeszłości...

Wesoły kącik.

W porę się cofnął.

— Panie sędzio, jaka jest odpowiedzialność, jeżeli się powie sędziemu, że jest głupi?

— 6 miesięcy więzienia.

— To ja już nie powiem, panie sędzio.

Pożyczka na krótki czas.

A.: Kiedy przed trzema miesiącami pożyczałeś odemnie 100 złotych, zapewniałeś mnie, że potrzeba ci ich tylko na bardzo krótki czas a tymczasem do dziś dnia ich nie zwróciłeś. —

B.: Mówiłem czystą prawdę, bo po godzinie już ich nie posiadałem.

Siostra moja weszła na wyżyny, została księżną, Barbara zaś wpadła w nędzę i hańbę! — Z której jednak została wyrwana. Sądźmy, iż jesteście zadowoleni. — Najpiękniejszym zadaniem życia mego będzie okazać się wdzięczną za łaski, jakich doznałam! — szepnęła wzruszona. Arcyksiążę podał rękę Barbarze, mówiąc: — Zwróciliśmy wam z chęcią radość życia i spodziewamy się ujrzeć was niebawem w większym jeszcze szczęściu. Że na was i siostrze waszej, księżnie, ciąży los tragiczny, nie jest to rzadkością, w rodzinach nawet najwyższych znajdujemy podobne stosunki. Może uda nam się załagodzić wszystko, mamy nadzieję! Przypominamy sobie, że za parę tygodni odbędzie się uroczystość świętojańska, gdyż lubimy zabawić się na letniej naszej rezydencji. O! widzę, że pani hrabina uśmiecha się, zdaje nam się, iż rozumiemy uśmiech ten! — Jest on tylko wyrazem przyjemnych wspomnień, wasza ekscelencjo, wspomnień, wiążących się z ową uroczystością! — rzekła Adryanna. — Spodziewamy się więc, że i tym razem znajdziemy rozrywkę i spędzimy czas mile. Uroczystość odbędzie się w tem oto parku — zwracając się do Barbary, od której nie mógł oderwać wzroku — i was prosimy na zabawę tę. Hrabina Urbino, której dobroć cenimy nadzwyczajnie, nie odmówi wam swej pomocy i rad. Mamy nadzieję, że spotkamy was wśród masek! Wasz narzeczony i jego przyjaciele otrzymają jutro nasze zaproszenia. Do widzenia! — Arcyksiążę skłonił się łaskawem poruszeniem ręki i znikł w ciemnościach parku. Barbara była niezwykle podniecona nie tylko dowodem dobrociłości arcyksięcia, lecz i tem, że wolno jej było podziękować za okazane jej łaski. Była już późna noc, gdy staroświecki powóz zawiózł Barbarę z jej służącą z zamku Ludwigsłust do samotnej willi.

Udaremniona napaść.

Pedro był nieocenionym sługą jezuityzmu i pośluszy. Nietylko udało mu się podsłuchiwać arcyksięcia, Barbarę i Adryanne, ale także wyspiegować miejsce pobytu Barbary. Gdy z takimi wiadomościami przybył do Wandy, ta wynagrodziła go obficie pieniędzmi a nadmiar tego poleciła mu porwanie Barbary. Nikczemny sługa jezuitki podjął się tego zlecenia z wielką skwapliwością. W towarzystwie dwu zbirów wkradł się nocą do willi, otruwwszy wpięrow psy zatrutem mięsem, śpiącego sługę zakłut skorpionem i udał się do sypialni Barbary. Barbara obudziła się na szczęście dość wcześnie. Na krzyk jej zbudziła się także stara służąca i skrzykiem wypadła na dwór. Tu pochwycili ją dwaj zbójce Pedra, ale wrzask usłyszał czuwający w pawilonie ogrodowym Kazimierz i sprzątnawszy nikczemnych pacholców wbiegł na piętro do sypialni Barbary, akurat w chwili, gdy bezbożny jezuita już, już miał ować nadwładną nawpół zemdloną Barbarę. Służkę szatana szatan strzeże. Tak było i z bracijskim jezuitką Pedrem. W ciemności zdołał uniknąć ciosów Kazimierza, wybiwszy głową szybę, wyskoczył oknem na galerję a stamtąd zbiegł do ogrodu. Wszelkie poszukiwania w towarzystwie przybyłego właśnie Ulrycha za napastnikami i jego pomocnikami były daremne. Również sądy wynaleźć ich nie zdołały. Jezuitki potrafili ukryć swych pomocników. Mimo to Wanda była pokonana, co ją gryzło tem więcej, że chyba Wandzie na porwaniu siostry zależeć mogło. Wanda atoli gotowała się z zimną krwią do nowego zamachu. A okolicności zdały się jej sprzyjać.

Maskarada.

Nadeszła noc świętojańska, witana uroczystością na całym niemal świecie, bowiem najdłuższy dzień i najkrótsza noc poświęcone bywały zabawie. Na szerokich ulicach stolicy od samego rana już panowało ożywienie, w warsztatach zaś cisza. Przystrojeni mieszkańcy miasta wylegali za bramy, by tu na ławkach oddawać się zabawie, a ogrody publiczne przepełnione były osobami, przysłuchującymi się rozkosznej muzyce. Dawnymi czasy, nawiedzano w dniu tym najwięcej przedmieście na którym osiadła stara Małgorzata Hory, od czasu jednak, kiedy ta zastępną tańcem duchów, miała tylko liczba śmielszych odważyła się udać w tę stronę. Gdy zapadał wieczór, na wszystkich ulicach stolicy i bramach miasta panował ruch o wiele więcej ożywiony, niż na przedmieściu, obfitującym w bagna i kałuże. Mała tylko gromadka mężczyzn i kobiet, podnieconych nadmiarem wódki, zbliżała się do lasu sosnowego, graniczącego z osławionym przedmieściem. — Za mną! — ryknął jakiś barczysty kowal, zawiąawszy rękawy u koszuli i wymachując gołymi ramionami — wszyscy za mną, wypędzimy ją z nory! Zobaczymy ją zblizka. — Tak, chcemy zobaczyć ją, pogłaskać, niech nam pokaże swe sztuczki! — wołał tłum z zapalem. — Cicho ludzie, tak nie można! — mówił jakiś człowiek, którego przedtem tu nie widziano — ja myślę, że możnaby to urządzić mądrzej. Przemocą nie zrobicie nic z czarownicą! — Słuchajcie ludzie, on mówi prawdę — zawołało kilku, gdy reszta skupiała się około nieprzytomnego już od nadmiaru trunków, belkoczącego kowala. Nieznajomy zsunął kapelusz nieco z czoła i ukazała się twarz złośliwa, przebiegła z czarną przepaską na jednym oku. — Teraz zostańcie spokojnie tutaj. Tymczasem ja pójdę do domu czarownicy, gdy przyjdę tam sam, otworzy mi przedź, a wtedy... — Wtedy zobaczymy wszyscy, przywlecziemy ją tutaj, musi wtedy pokazać nam, że jest nietykalna — krzyczał tłum. — Tak i ja jestem tego zdania — zaśmiał się nieznajomy, gładząc swą szorstką brodę i szedł w kierunku domu starej wróżbiarki; obliczając sobie już w duchu, jaka dla niego wypadnie ztąd korzyść. Pedro to był, Pedro, który uciekł ze stolicy, by wkrótce znów zjawić się tam napowrót. Włóczył się tej nocy po przedmieściu, gdyż kamienna chata starej Małgorzaty Hory przyciągała go dziwnie. Był u niej już kilkakrotnie i spostrzegł, że stara wywoływaczka duchów, mająca klientelę z najwyższych sfer, posiada pieniądze i inne bogactwa. Dla tych pieniędzy przybył Pedro tutaj i chciał użyć w tym celu pijanego rozbawionego tłumu zwykle przybywał do domku staruszki w odzieniu mnicha, dziś, dla niepoznania, wybrał się do niej w płaszczu i kapeluszu śpiczastym. Małgorzata Hory wniosła już z coraz bardziej zbliżającego się krzyżącego tłumu, że wrzaski te tyczą ją, a jakkolwiek Rozalja starała się uspokoić ją, staruszka była niezwykle wzburzona. — Idą! — szeptała gorączkowo — zburzą mi dom mój, i będą znęcać się nad nami, bezbronnymi kobietami, co pocznimy teraz, biedne? — Bądź spokojna! Przed wieczorem tedy przejeżdżać będzie dwóch jeźdźców — rzekła Rozalja. — Co mówisz, dwóch jeźdźców? To zapewne opiekunowie biednej Barbary, o której mi tak często wspominasz? — mówiła stara Małgorzata, z błyskiem nadziei w oczach. — Tak, matko, teraz może nie będziesz już się na mnie gniewała, że wracam czasem nieco później, że zawarłam znajomość z mężczyznami. Są to zresztą panowie dobrzy i szlachetni! Będą dzisiaj przejeżdżali około nas, gdyż udają się na Ludwigsłust, oni nam pomogą i uratują nas! — Daj Boże! — mówiła staruszka, skądając dlonie. W tej chwili zapukano do drzwi silnie. — Jeden tylko stoi pode drzwiami — mówiło dziewczę — reszta stoi pod drzewami — naprzeciwko! — Rozalja dotknęła przyrządu mecha,

nicznego, drzwi obróciły się, Pedro wślizgnął się przez nie, drzwi zamknęły się za nim z powrotem. — Kto wy? — zapytała staruszka, ukazując się w głębi — co się stało? — Czyż nie wiecie jeszcze? Powtarzam wam, że dzisiejsza noc nie skończy się spokojnie, tłum chce zburzyć dom wasz i zabić was. — Jesteście mnichem Baldomero w cudzych szatach, djabeł w postaci ludzkiej! Czego chcecie odemnie? To przychodziecie pytać o jakąś dziewczynę, to znów przyszyła was inkwizycja. — To inny rachunek, że nie chcecie wymienić mi miejsca pobytu Barbary Ubryk! Ale nie troszczcie się teraz o mnie, przychodzę dziś jako zbawiciel wasz bo gdybym nie zatrzymał i uspokoił tłumy, z domu waszego nie pozostałby kamień na kamieniu. Ale to wdzięczność za to! Przychodzę wam nawet nie w porę! No dobrze, odejdę sobie, a tłum wpakuje się tu do was, wtedy poprosicie mnie bardzo ładnie, bym uratował was ale będzie już wtedy zapóźno! — Widzicie mnie w trwodze, mogłabym ludowi pokazać swą potęgę, lecz nie chciałabym wyrządzić im krzywdy, — rzekła stara, spoglądając na Hiszpana niedowierzająco — co zrobicie, by tłum odwrócił uwagę od domu mojego. — Jeżeli oddacie mi część złota, które posiadacie i które przybywa wam z dnia na dzień!... — Złota? O, ja jestem bardzo biedna i stara — Stara jesteście, Małgorato, lecz nie biedna! Jeżeli dobrowolnie nie oddacie mi kilka garści złota, wtedy tłum zabierze wam wszystko i w dodatku zabije was. — Wiele żądacie odemnie? — Nie więcej, jak tylko cztery, cztery dobre garście, a ręczę wam, że nie spadnie wam włos z głowy, tylko nie ociągajcie się już dłużej! — Stara odsunęła nieco posłanie z liści, na którym spoczywał wąż i wyjęła kamień ze ściany ogniska tuż nad ziemią. Otworzyła worek skórzany. Twarz Hiszpana rozjaśniła się, worek zawierał same czerwone, lśniące dukaty. W tej chwili głuchy zgiełk powstał przed domem. — Dawajcie, dawajcie — szepnął Pedro, jak pijany i trzęsącą od chciwości ręką chował złoto do kieszeni. — Matko, przepędzają ich! — zabrzmiał znów słodki głos Rozalji. — Słyszycie? Co by było z wami, gdybym wam nie przyszedł z pomocą? — rzekł Pedro, zabierajcie się do odejścia. — Idźcie już. Oddałam wam to, co żądaliście i co chowałam na czarną godzinę! — Oho, ja sądzę, że został się jeszcze mały zapasik! — zawołał szyderczo Hiszpan wybiegając. Gdy stanął przed samotną chatką, widział, że sam nie potrzebuje już fatygować się dla przepędzenia tłumy, czynili to bowiem dwaj jeźdźcy, których w pierwszej chwili wziął za policjantów, — Tem lepiej — mruknął Pedro — zrobiłem dobry interes, ale ręczę, że stara czarownica ma w swej norze skarby nieprzebrane. Cuorpo de Dios — dodał ciszej i pochylony skradął się pod cień drzew — to przecież ci dwaj Polacy. Co sprowadziło tutaj tych wytwornych panów? Jeźdźcy zbliżali się do chaty. — No, ale teraz musimy spieszyć, przyjacielu, zabawa rozpoczęła się już. Przyznam ci się otwarcie, że wołałbym nie uczestniczyć w niej. Mam jakieś przeczucie, jakby tam spotkać nas miało nieszczęście! — rzekł jeden z nich mężczyzna niezwykle siłny. — Nie zatrzymuję cię, Andrzej, mam tylko do oddania ukłon w samotnej chatce. Czy nie poznajesz tam uroczej Rozalji nade drzwiami? — Nie truno zgadnąć, że był to Ulrych i Andrzej. Ulrych wywił kapeluszem w stronę domu i Andrzej, poznawszy teraz piękne oblicze tajemniczej nieznanym, oblane światłem księżyca, uklonił się jej z galanterją. Rozalja szepnęła kilka słów powitania, poczem znikła z otworu okna. — Do licha, to istna Junona ta dziewczyna! — rzekł Ulrych, pośpieszając za swym przyjacielem. — Gdy nie widzę jej, w przeciagu doby, brak mi czegoś? — Pędzili ścieżkami polnemi, a przejechawszy most nad rzeką, skręcili w stronę Ludwigsłustu. Słońce już zaszło i nad-

chodziła noc. Noc była rozmarzająca, na zachodzie widniał jeszcze pas zachodzącego słońca, pas fioletowy, a już księżyc oblewał okolicę swem białem, łagodnem światłem. Liczne przepyszne pojazdy wiozły gości arcyksiążęcych do zamku Ludwigsłust, w którego obszernym parku dzisiejszej nocy miała odbyć się zabawa świętojańska. Zdała już oczom gości przedstawiał się widok wspaniałego wejścia do pałacu, oświetlonego rzęsistym światłem a lokaje w złocistych liberjach pomagali wysiadać gościom w fantazyjnych strojach maskaradowych. Wchodzących do przedsionka witała fontanna ognista otoczona wieńcem roślin. Na trawnikach przed pałacem paliły się w wielkich kotłach ognie, a w bardziej ożywionych alejach były ustawione olbrzymie kandelabry. Gdziekolwiek znów w miejscach, bardziej nawiedzanych przez gości, przygrywały orkiestry, a na jeziorze, na którym kołysały się łódki, bezustannie palono ognie bengalskie, oświetlające całość czarodziejskim blaskiem. Liczba masek zwiększała się z każdą chwilą. Aleje skąpo tylko oświetlone, mimo to panuje ruch ożywiony. Z tego tłumy różnorodnego wyróżniał się w chwili, gdy obaj nasi jeźdźcy stanęli przy bramie parku, wysoki zupełnie czarno odziany mnich z pięknie zbudowaną damą w przebraniu Minerwy. Mnich szedł obok bogini, pochylony nieco naprzód, co było dowodem, że doświadczony dworzanin towarzyszy damie o znacznych wpływach. — Widzę, że para arcyksiążęca zesłała już do parku — szepnął mnich, którym był książę Gerold. — Nie sądzę, żeby arcyksiężna zechciała opuścić zaraz kolumnadę. Właśnie patrzy się w tę stronę, rozmawiając z jakimś grandlem hiszpańskim! — Który w rzeczywistości jest księciem Falkenbergiem, dziwne, arcyksiężna nosi domino niebieskie, a kawaler obserwujący tak gorliwie maski, ma różową kokardę na lewem ramieniu, czy nie mylę się. — Kawalerem tym jest sam arcyksiążę. — Równocześnie pomiędzy filarami ukazała się dama w białej sukni atlasowej, na niej szeroka, faldzista zarzutka, usiana niezliczonymi brylantami, które lśniły i połyskiwały, jak śnieg w słońcu. Wspaniały djadem ozdobił jej włosy, a suknia pod płaszczem zarzucona była białymi prymulkami. — Istotnie to piękna maska, nieprawdaż, księżno Falkenberg? — Śnieżka, bardzo piękna lecz mroząco chłodna! książę Geroldzie — zauważyła księżna Falkenberg, z uwagą spoglądając na kolumnadę, pod którą jak zjawisko nadziemskie śnieżka płynęła obok maski w skromnym, żółtego koloru kostjumie Ofelji. Mnich, pochwylił rękę Minerwy. — To ona, poznaję ją po ruchach — szepnął pośpiesznie. — Hrabina Lukrecja Urbino! — przerwała mu Wanda prostując się mimowoli, — to ona, nie mam już wątpliwości. Arcyksiążę wita hrabinę, a teraz? O, słowa Pedra sprawdzają się, kochanka tego Polaka ma przed sobą przyszłość, jeżeli dziś nie zostanie zburzoną, nim stanie się dla mnie fatalną. Panie intendencie, dochodzimy teraz do jądra rozmowy naszej — rzekła Wanda do księcia, rozglądając się jednocześnie, czy nie są przez kogo śledzeni. — Czy mogę liczyć na wasze milczenie i pomoc, jeżeli chodzi o uratowanie życia arcyksięcia? — Przeróżacie mnie, pani księżno, życie arcyksięcia, mówiliście? — Sprzysiężenie, panie książę! Zjawienie obu dam tych jest oznaką że tej jeszcze nocy będzie wykonany zamach na arcyksięcia — tutaj w parku. — Księżna znasz morderców? — Znam! Spieszcie księżę, starajcie się bezzwłocznie o dobrą straż, którą trzeba rozstawić tak, by nie wzbudzić podejrzania. — Ale bez wiedzy arcyksięcia. — Bierście księżę odpowiedzialność olbrzymią! jeżeli natychmiast nie uczynicie przygotowań, nie mówiąc o tem nikomu obecnych. Znać księżę owych trzech młodzieńców, awanturników polskich, którzy umieli wkraść się w zaufanie arcyksięcia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)